

Dušan D. Fabian

Trzy czarne wtorki

Przełożył Konrad Bańkowski



Preludium

I.

Mówi się, że czas pomiędzy jesienną równonocą a zimowym przesileniem jest najmagiczniejszym okresem w roku. Zwłaszcza przełom października i listopada. W nieskończonym cyklu przyrody jest to czas jedyny w swoim rodzaju – czas wielkiego spotkania. Opadają więzy, pękają strażnicze łańcuchy, a rzeczy, które do tej pory były od siebie krańcowo oddalone, powolutku odnajdują do siebie drogę. Bramę między dziedziną śmierci a królestwem życia najłatwiej przekroczyć właśnie wtedy, a granice pomiędzy rzeczywistym i mistycznym stają się najcieńsze.

Zmienia się także twarz Ziemi. Stary, pogański rok schodzi się z nowym. Współczesny świat spotyka się z minionym oraz przyszłym, staje się podatny na wróżby. Natura zamiera i układa się do snu. Zostaje wszak nadzieja... Ziarno – symbol kontynuacji – oddziela się od owocu i pada na ziemię, aby stać się gwarantem wiecznego odrodzenia. Od niepamiętnych czasów dla ludzi jest to okres gromadzenia zapasów, zabezpieczania dobytku, solenia mięsa na zimę. Gotują się na egzamin, w którym niepowodzenie może oznaczać śmierć. I nie dotyczy to wyłącznie ich.

Po nadejściu Marcina na białym koniu budzą się magiczne i ciemne siły. One też potrzebują jakoś przeżyć. Przenikają do naszego świata, czerpią z niego energię, odbudowują swoje siły. Zbliża się czas łowów i śmiertelnych ofiar. Nadchodzą dni straszne, dni przerażające...

II.

Wszystko zaczęło się dokładnie w miesiąc po święcie wydrążonych dyń. We wtorek, dwudziestego dziewiątego listopada, w wieczór przed Andrzejkami...

Już na Katarzyny spadł pierwszy śnieg, solidnie padało też i w tę noc. Płatki śniegu, skłębione w roztańczone roje, kotłowały dziko w świetle latarni, a niezmordowany koszycki wiatr usypywał z nich zasy wzdłuż ulic. Stałem sam, zawieszony w nieczasie i po cichu obserwowałem to szalejące piękno.

Wracałem właśnie z próby – na grzbiecie stara, skórzana kurtka, powycierane spodnie i gitara na plecach. Marzęm niesamowicie. Przystanek tramwajowy był odsłonięty, więc bezustannie przestępowałem z nogi na nogę, a skostniałe ręce próbowałem ukryć przed mrozem w kieszeniach. Sam chłód rejestrowałem jednak tylko częściowo. Przed oczami miałem fantasmagoryczne wyczyny żywiołów, a w głowie brzmiała mi muzyka. Tego wieczora z zespołem skomponowaliśmy wspaniałą kawalek. Ja podałem motyw wiodący. Dwie przenikające się melodie, zawijające się wokół siebie w powolnym rytmie, niczym para węży. Proste, niemal banalne gitarowe riffy – wymyśliłem je w bezsennej noc po jakiejś imprezie – genialnie splatające się w magicznie brzmiącą całość. To naprawdę niesamowite uczucie, stworzyć coś, co dzieli tylko krok od doskonałości...

Ze słodkiego zamyślenia wyrwał mnie łoskot kół na szynach tramwajowych. Otworzyły się drzwi i przyjemne ciepło zaprosiło mnie do środka. W wagonie, do którego wsiałem, siedziało zaledwie kilka osób. Stanałem, jak zawsze, na samym końcu, oparłem się o poręcz, a zamyślony wzrok skierowałem w ciemność za oknem. Za chwilę powinienem być w domu. W łóżku, z parującym kubkiem gorącej herbaty w ręku. Próbowałem w myślach podjąć zerwaną nić melodii, jednak coś mi przeszkadzało. Muzyka, malująca przed moimi oczami fantastyczne obrazy wciąż uciekała, nie dawała się pochwycić.

Westchnąłem, rozejrzałem się po wnętrzu wagonu i niedaleko przed sobą dojrzałem bezustannie wierzącego się faceta, który coś do siebie niezrozumiale mamrotał. Nie rozumiałem słów, jednak z intonacji można było wyczytać targający nim gniew. Wychwyciłem jakieś przekleństwo, potem groźbę pod adresem czyjejś osoby. Gość wyglądał na podbitego i całemu otoczeniu dawał wyraźnie odczuć swoje rozdrażnienie. Ludzie go jednak ignorowali. Generalnie sprawiał odpychające wrażenie, rozsiewał też wokół atmosferę strachu.

Wpatrywałem się w jego plecy i wyteżałem słuch, żeby uchwycić jak najwięcej. Po kilku chwilach zaczął mi się wydawać wręcz śmieszny. Biedny idiota, który swoimi problemami zatruwa życie innym. Prymityw, przeświadczony, że cały świat kręci się wokół niego. Pożałowania godne...

Obrócił się gwałtownie. Zupełnie jakby dosłyszał moje myśli. Uświadomiłem sobie, że mam na twarzy uśmiešek, ale nie zdążyłem go skryć.

– Masz jakiś problem? – zawarczał.

Staralem się wyglądać jak ktoś od dłuższego czasu zamyślony, ktoś, kto nie zdaje sobie do końca sprawy z tego, co dzieje się wokół. Nie odpowiedziałem. Gość wstał. Mógł mieć z metr dziewięćdziesiąt. Szerokie ramiona, płaski

brzuch. Z kumplami zwykliśmy podobnych określać jako „szafy”. Na sobie miał flyersa z naszywką „Przyjaciela poznasz w biedzie”, a w żółtawym świetle lampy połyskiwała jego łysa czacha pokryta króciuteńkim „językiem”.

Ścisnęło mi żołądek.

Przyskoczył do mnie, złapał za kurtkę, a swoją nieproporcjonalnie wyciągniętą głowę zbliżył do mojej twarzy.

– O coś się pytałem!

Śmierdziało mu z ust, a w oczach czaiło się szaleństwo.

Serce zaczęło mi tańcować jak ogłupiałe.

– Nie mam...

– Czego, kurwa, nie masz?

– Nie mam żadnego problemu – wyszeptalem przez ściśnięte gardło.

Gość wyszczerzył zęby i zawarczał. Dostałem w twarz.

– Z czego żeś się śmiał?

– Nie... Nie śmiałem się...

Dostałem znowu. Ludzie zaczęli się odwracać i pomrukiwać, ale oczywiście nikt się nie rwał do pomocy. Nie bronilem się. Jak głupek nie podniosłem nawet ręki. Chciałem tylko, żeby dał mi spokój. Bałem się, że byle drobiazgiem sprowokuję go jeszcze bardziej. Myślałem, miałem nadzieję, że straci zainteresowanie ofiarą, która nie przejawia ochoty do walki.

– Proszę zrozumieć, ja... jest mi...

Cios pod żebra. Tramwaj akurat się zatrzymał. Z bólu, ale głównie też dla zachowania równowagi skłoniłem się, opadłem na kolana, puściłem gitarę. Facet złapał mnie, rzucił pod drzwi i wykopał z tramwaju na dwór. Upadłem plecami na schody, aż mi dech odebrało. Wróciłem do siebie dopiero na zaśnieżonym chodniku. Psi łeb schodził powoli po schodkach i coś tam mrucząc naciągał rękawice.

– Ty skurwysynu! Od razu cię poznałem! Wiesz, skąd właśnie wracam? Z mamra. A wiesz przez kogo tam siedziałem? No co za przypadek... Przez twojego zasranego brata! Kutas niemyty jeden!

Kolejne kopnięcie w bok.

– Przekażesz mu pozdrowienia, co? Powiesz mu, że już wyszedłem i ma się na co cieszyć! Jasne?

– Przestań... To jakaś pomyłka! Ja...

Długi prosty w zęby.

– Czy to jasne?

– Jasne... – do oczu napłynęły mi łzy. Próbowałem zasłonić twarz rękoma. Usłyszałem motorniczego. Wysiadł z tramwaju, zaniepokojony, co się dzieje. Gość odwrócił się w jego kierunku, odchrząknął i splunął. Motorniczy wahał się chwilę, potem nagle zawrócił, zamknął drzwi i ruszył tramwajem dalej. Przez wymalowane mrozem szyby jeszcze przez kilka minut spoglądało na mnie kilka par oczu. W dalszym ciągu nikt się nie podniósł, nikt nie zrobił absolutnie nic.

Gitara, klucze, dokumenty... przebiegło mi przez myśl.

– Stój...

– Morda! – warknął psi łeb, podkreślając wagę swoich słów kolejnym kopniakiem. Zwinąłem się w kłębek i przetoczyłem po śniegu. Zaśmiał się tylko, przyskoczył i stanął mi na nodze.

– Przekażesz pozdrowienia, popaprańcu, jasne?

Placz wzbierał mi w gardle. Facet, rechocząc, zaczął rozpinać spodnie z wyraźnym zamiarem naszczania mi na twarz. Tego już nie wytrzymałem. Wierzgnąłem kilka razy, aż udało mi się uwolnić od ciężaru przygniatającego mnie do ziemi. Przetoczyłem się ze dwa razy, dźwignąłem na kolana,

stanąłem wreszcie na nogi i puściłem się biegiem, jakby gonilo mnie sto diabłów. A nieznajomy facet tylko się śmiał. Stał tam na mrozie, z fujarą na wierzchu, machał do mnie rękoma w rękawicach i się śmiał.

Pieprzony wariat! Nawet nie dał mi szansy wyjaśnić, że nie mam żadnego brata...

III.

W jakąś godzinę byłem u swojej jedynej krewnej, u siostry. Na szczęście Jana ma zapasowe klucze do mojego mieszkania. Swoim wyglądem porządnie ją wystraszyłem – cały przemoknięty, pokrwawiona twarz, rozbite okulary. Uspokoilem ją, że wszystko ze mną w porządku, i bez dalszych wyjaśnień porosiłem o klucze. Czułem się dość niezręcznie, zjawiając się u niej w takim stanie, chciałem więc jak najszybciej zniknąć. Niestety, choć nalegałem, odmówiła, dopóki nie powiem jej, co się stało. Nie miałem innego wyjścia, musiałem się poddać. Na pewno mnie zrozumiecie, jeśli powiem, że na żadne szczegółowe wyjaśnienia nie miałem najmniejszej ochoty. Zzulałem buty, nie ściągnąłem nawet kurtki, tylko od razu chwyciłem za telefon. Na powtarzające się pytania odburknąłem tylko, że napadli mnie jacyś chuligani, którym nawet nie dałem rady się przyjrzeć, i że zamiast mi suszyć głowę, mogłaby mi lepiej znaleźć numer Przedsiębiorstwa Transportu Miejskiego.

Ostatni raz biłem się w szkole średniej. Z podbitym limem chodziłem potem całe dwa tygodnie. Wydawało mi się, jakbym właśnie wrócił do tamtych czasów i chociaż byłem porządnie wkurzony, incydentu w tramwaju nie traktowałem dużo poważniej niż wielu innych ze szkolnych czasów. Każdemu facetowi raz na czas zdarzy się oberwać po głowie. Ot, trafi przypadkiem na silniejszego. Tyle tylko, że strasznie mi było wstyd. Człowiekowi zazwyczaj ciężko się do tego przyznać, ale w podobnych sytuacjach górę bierze strach. I prawda była taka, że po prostu nie odważyłem się temu wariatowi przeciwstawić. Nie miałem odwagi dochodzić jego tożsamości, nie miałem odwagi zgłosić na policję napadu. Tłumaczyłem sam sobie, że był to w istocie głupi przypadek, że najprawdopodobniej z kimś mnie ten człowiek pomylił i nigdy więcej już go w życiu nie zobaczę. Bałem się następstw ewentualnego dochodzenia, konfrontacji. Najprościej było zostawić wszystko jak jest. Machnąć ręką, przejść nad tym do porządku dziennego. Stchórzyć.

Pracownik dyżurujący przy telefonie oznajmił mi, że tego wieczora nie zgłoszono żadnych znalezionych w tramwaju rzeczy. Zanotował mój numer, opis futerału na gitarę, i doradził zgłosić się rano do Biura Rzeczy Znalezionych. Podziękowałem mu, modląc się w duchu, aby moje rzeczy nie skończyły w rękach jakiegoś bezdomnego.

Straciłem wszystko. W futerale oprócz kluczy były i pieniądze, dowód osobisty, prawo jazdy, bilet miesięczny, numer ubezpieczenia i karta do bankomatu. Nie mówiąc już o samej gitarze, która kosztowała mnie szesnaście tysięcy koron. Gniew, spowodowany nieszczęsną bijatyką, powoli ustępował, w jego miejsce pojawiły się niewesołe myśli o utraconych rzeczach. Koniec końców, było to znacznie bardziej bolesne.

Musiałem znaleźć się w domu szybciej niż ewentualny znalazca moich kluczy. Zresztą i tak miałem już dość wrogu mojej siostry. Zgodziłem się, że potrzebna mi jest kąpiel,

dałem sobie też pobieżnie opatrzeć rany na twarzy. Chwilę później przeskakiwałem już schody po trzy na raz, aby jak najszybciej złapać nocny. Dalsza podróż przebiegła bez żadnych przygód. Przemknąłem przez śpiące osiedle jak cień, drzwi na klatkę otworzyłem ciszej niż wiatr. Mieszkanie otwierałem z duszą na ramieniu, jednak żaden włamywacz jak dotąd nie złożył mi wizyty. Zamknąłem drzwi, przemoknięte ciuchy rzuciłem do prania, zrobiłem herbatę, a na opuchnięte oko i usta położyłem lód. Potem wziąłem prysznic i położyłem się spać. Przewidywałem, że noc może mnie czekać ciężka, więc zapobiegliwie łyknąłem dwa ibuprofeny. Zabrali...

IV.

Rano wstałem całkowicie obolały. Nie był to jednak czas na samoużalanie się. Zaraz po sygnale budzika zadzwoniłem do pracy i poprosiłem o dzień wolny. Na szczęście na zmianie było sporo ludzi, poszło więc gładko. Wrzuciłem na siebie jakieś suche ciuchy, przegryzłem w locie śniadanie, zapilem kolejne dwie tabletki i z nadzieją ruszyłem na miasto.

Najpierw odwiedziłem aptekę, po czym w toalecie pobliskiego baru, z pomocą plastrów doprowadziłem do jako takiego wyglądu cyferblat. W transportowym byłem w okolicach pół do ósmej. W związku z czym przyszło mi czekać godzinę, aż otworzą Biuro Rzeczy Znalezionych. Jak się okazało, zupełnie zbytecznie. Żaden z motorniczych nie znalazł w swoim wozie nic z opisanych przeze mnie rzeczy, nie zgłosił się też nikt z pasażerów. Jeszcze raz poprosiłem urzędnika, żeby dokładnie zapisał sobie moje imię, adres i telefon, oraz żeby natychmiast dano mi znać, gdyby się którakolwiek z moich rzeczy odnalazła. Prawdę powiedziawszy, zaczynałem już jednak tracić trochę nadzieję... W przyszłym miesiącu mogę śmiało zacząć obchodzić bazyry i komisje, wypatrując swojej sześciostrunowej przyjaciółki. W chmurnym nastroju opuściłem Biuro i wyszedłem z powrotem w zamieć.

W dalszą drogę ruszyłem do centrum. Nie było sensu zwlekać z czymkolwiek. Czekają mnie wizyty w banku, na policji, u ślusarza i w Kasie Chorych. Wszędzie długie kolejki, nieprzyjemni, znudzeni urzędnicy, no sama radość po prostu...

Interludium

I.

W tydzień później Koszyce zmieniły się w paskudne panoptikum kamiennych rzeźb pokrytych szarzącą, śnieżną kaszą. Temperatury wariowały, a śnieg topił się i mieszał ze smogiem i pyłami.

We wtorek rano, z nowym dowodem w kieszeni, jechałem do pracy tramwajem, spoglądając przez szybę na brudne, ponure ulice. Było jeszcze ciemnowo, okna domów spoglądały ślepo, a pozbawione liści drzewa rzucały na ziemię cienkie i poskręcane cienie. Świat wokół mnie wyglądał jak scenografia z taniego, przygnębiającego horroru.

Szósty grudnia. Nad wyraz udane Mikołajki...

Pochmurny ranek był dopiero zapowiedzią dalszych niespodzianek, jakie mi los przygotował. Oczywiście, jadąc do pracy, wciąż jeszcze niczego nie podejrzewałem. Mój

podarek czekał sobie posłusznie schowany niezbyt przemyślnie na dnie torby.

Wysiadłem razem z setką innych rozespanych twarzy na przystanku na wprost bramy Huty Wschodniosłowackiej i z rękoma w kieszeniach kurtki ruszyłem powoli brudnym chodnikiem ku swojemu miejscu pracy.

Zauważyłem go, przechodząc przez bramę. Dryblas w mundurze straży przemysłowej. Stał w grupie innych strażników i palił papierosa. Poznałem go natychmiast, to był ten wariat z tramwaju. Zamarłem z przerażenia.

Psi łeb spoglądał prosto na mnie, ręką drapał się w kroku, a na twarzy przysłoniętej obłoczkiem papierosowego dymu igrał mu szkaradny uśmiech. Obróciłem głowę w przeciwną stronę, schowałem ją w ramiona i ruszyłem niezgrabnie dalej przed siebie.

– Ej! Podejdźcie no tutaj! – Skinął na mnie ręką. – Poddamy was kontroli trzeźwości.

Jego koledzy ze straży zastąpili mi drogę. Znieruchomiałem, a nogi pode mną zaczęły się trząść.

– Wrywkowa kontrola. Spożywał pan jakieś napoje alkoholowe? – spytał mnie najstarszy z mundurowych, równocześnie wyciągając mnie za ramię z ludzkiego strumienia, który przepływał wokół mnie.

– Nie.

Pytanie czysto *pro forma*. Na moją odpowiedź nie zwrócili nawet uwagi.

– W porządku. Proszę dmuchnąć w tę rurkę. – Psi łeb przejął inicjatywę. Nasadził brudny, wielokrotnie używany ustnik na elektroniczny alkomat, podał mi go i znów się uśmiechnął. Pełen złych przeczuć, w milczeniu spoglądałem podejrzliwie to na przedmiot w moim ręku, to na mundur gościa, który przed tygodniem zdemolował mi fasadę. Był ciemnoniebieski, brudny, w kilku miejscach poprzepalany. Na jednej piersi emblemat zakładu, na drugiej plakietka z nazwiskiem. Chociaż nie... Plakietka, na której POWINNO być nazwisko. Na tej jego można było przeczytać: „Przyjaciela poznasz w biedzie”, wypisane dużymi, czerwonymi literami.

Nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje. Niby od kiedy on tu pracuje? Czy nikt się nie zorientował, że z tym przygłupem jest coś nie teges? Jest nieogolony, kopci w miejscu otoczonym tabliczkami z zakazem palenia i nie jest oznaczony żadnym nazwiskiem ani numerem. Wręcz przeciwnie, sprawiają wrażenie, jakby facet pracował tu od zawsze i jeszcze wszystkim tym gościom przewodził. A ja – znowu zostawiony sam sobie. Szlag by to...

– No, jak tam?

Przyjrzałem się pozostałym chłopakom z ochrony. Stali nieruchomo wokół mnie i rzucali chmurne spojrzenia. Szanse na czmychnięcie absolutnie żadne. Trzęsącą się ręką przybliżyłem alkomat do ust. Nabrałem głośno powietrza w płuca i dmuchnąłem.

– I wystarczy. – Chwycił mnie za rękę i wyrwał z niej urządzenie, zanim zdążyłem ponownie zaczerpnąć powietrza. Z niezwykłym poważnym wyrazem twarzy spoglądał na wyświetlacz. Starszy ochroniarz zaglądał mu przez ramię.

– A więc panie...

– Bronisław Bohatr – wyszeptalem.

– Panie Bohatr, proszę okazać dowód tożsamości. Pójdzie pan z nami do pomieszczenia służbowego. W obecności świadków stwierdzono u pana... – jeszcze raz spojrzął na cyfrowy wyświetlacz – jeden i dwie dziesiąte promila alkoholu.

Mój „wyczyn” został nagrodzony szerokimi uśmiechami. Ramiona mi obwisły, a twarz wykrzywiła się w niemym zdumieniu.

– To niemożliwe. Ja... Przecież ja nie piłem.

Dryblas obrócił alkomat w moją stronę, prezentując mi wyświetlacz. Zero. Jedyńka. Dwójka. Zero.

– Tędy. – wskazał gestem nieznoszącym sprzeciwu przeszklone drzwi.

Szok. Musiałem gapić się jak przysłowiowe ciele w namalowane wrota. Znów czułem się, jakbym wsiadł do zepsutej windy. Lina się zerwała, a ja zmierzałem z rosnącą prędkością ku bolesnemu upadkowi. Ani zahamować, ani wysiąść.

– Chwila! – Otrząsałem z siebie dłonie napierające na moje plecy. – To musi być pomyłka! Naprawdę nie piłem przynajmniej od jakichś trzech dni. Ten alkomat musi być zepsuty!

– Nie robić scen! – huknął na mnie psi łeb, chowając ustnik do kieszeni. – Urządzenie jest prawidłowo testowane i kontrolowane.

– Domagam się wiarygodnego badania krwi. Ja nie piłem!

– Spokojnie, Bohatr, spokojnie. Tędy, powiedziałem.

Trząśł mną gniew, a w oczach płonęło mi zdecydowane postanowienie – nie ma mowy! Wyjaśnimy wszystko tu i teraz, a ktoś za to poniesie odpowiedzialność!

Było to jednak wyłącznie pobożne życzenie.

Wszyscy ochroniarze ruszyli jak jeden mąż. Znać było po nich spryt i profesjonalizm. Fachowo i nie nadużywając przemocy, spacyfikowali mnie, uspokoili niemal po ojcowsku. Aż mi kurtkę przy tym porwali...

II.

Dostałem wypowiedzenie. Jeszcze tego samego dnia.

Załamalo mnie to kompletnie. Zima na progu, przyjdą rachunki za ogrzewanie, wydatki na cieplejsze ciuchy, a ja właśnie straciłem pracę. A przecież prawo było po mojej stronie, był to jedyny podobny incydent w moim życiu! Mogli mi dać szansę...

Niestety. Nie dali.

Całe przedpołudnie przesiedziałem pod nadzorem w kancelarii straży zakładowej, gdzie odwalili całą papierkową robotę. Spisano protokół, zeznania świadków, wszystko to potem poszło do podpisu, do dyrekcji. Nie zjawiał się nikt z moich przełożonych. Załatwiono wszystko przez telefon. Wszyscy w zakładzie zachowywali się, jakbym był chronicznym alkoholikiem i zatwardziałym obibokiem. Co więcej, sprawiali wrażenie, jakby byli zadowoleni z faktu, że zostałem wyrzucony. A przecież zawsze byłem sumiennym i odpowiedzialnym pracownikiem. Czułem, jakby cały świat walił mi się na głowę.

Przynajmniej wywalczyłem sobie badanie krwi. W końcu przysługiwało mi zgodnie z prawem. Zostałem pod eskortą przetransportowany do przychodni. Wyniki były gotowe w ciągu jakichś dwóch godzin. Jeden promil. Minimalnie mniej niż badanie alkomatem, ale wciąż o wiele więcej niż rzeczywiście być powinno. Nic z tego nie rozumiałem. Przecież naprawdę nie piłem. Po raz ostatni trzy piwa w miniony piątek. I o ile facet z tramwaju mógł jakoś podregulować alkomat, nie mógł przecież sfalszować wyników badania laboratoryjnego. Nie mógł...? Teraz było

już jasne, że tej kreaturze idzie o mnie. Tylko czemu? Co z tego miało wynikać? Dokąd miało doprowadzić?

Czekałem na szczęśliwe przebudzenie z tego koszmaru, jednak nic takiego nie nastąpiło.

O pół do pierwszej opuszczałem teren huty z haniebnym wypowiedzeniem w kieszeni, bez żadnych widoków na odpuszczenie winy. Cóż robić... Trzeba będzie żyć oszczędnie zanim znajdę coś nowego. A z tym poczekamy do jutra. Wysiadłem przy pierwszej lepszej knajpie i z rozpaczą poszedłem się rzeczywiście urząnąć.

Postludium

I.

Wszystko marzło. Chodniki, ulice, schody, poręcze pokrywał lód. Nad miastem ciężko przewalały się ciemne chmury. Słońce nie pokazało się ani razu już od tygodnia, a pierwsza połowa grudnia upłynęła pod znakiem nieustępującej szarówki.

Na depresję, w którą ze zrozumiałych względów popadłem, nijak to nie pomagało. Przez cały tydzień nie ruszyłem się z domu na krok. Siedziałem w fotelu, niczym kupka nieszczęścia i zawinięty w koc oglądałem ciągiem telewizję. Odganiałem paranoiczne myśli o samobójstwie i topiłem żal nad samym sobą w niekończących się serialach.

A najgorzej było w nocy. W żaden sposób nie mogłem pozbyć się wizji faceta z tramwaju naśmiewającego się ze mnie za moimi plecami. Prześladowała mnie noc w noc, przez co ciągle się budziłem rozdrażniony. Nie powiem, żebym się w ciągu tego tygodnia wyspał, przez co do depresji doszło jeszcze zmęczenie i ciągłe bóle głowy. Czas włócił się niemiłosiernie, i jego kojąca moc najwyraźniej nie miała ochoty na mnie zadziałać.

Na drugą wizytę w urzędzie pracy umówiony byłem trzynastego. W nadchodzący wtorek.

Kiedy wstałem rano i spojrzałem mimochodem do kalendarza, oblał mnie zimny strach.

Święta Łucja.

Jak tylko dostrzegłem to imię, natychmiast przed oczami stanęły mi wspomnienia związane z naszą mamą i wszystkie te napełniające grozą opowieści i ludowe bajdy, którymi nas w dzieciństwie straszyla. Akurat w chwili, kiedy najmniej mi to było potrzebne, pojawiły się historie o Łucji, trzecim w kolejności najmagiczniejszym dniu w roku, dokładając mi jeszcze jedno zmartwienie.

Stara mamusia była bardzo pobożna. Niestety, do tego również potwornie zabobonna. Od dziecka żyła w świetle ludowych podań i tradycji – wśród wybrzmiewających ech pogańskich czasów. Według słów mamy, Łucja była magicznym dniem poświęconym ciemnym siłom i cieniom zmarłych. Trzynastego grudnia nikomu z rodziny nie było wolno wyjść z domu. Zawsze bardzo tego pilnowała. Świat na dwadzieścia cztery godziny przestawał należeć do ludzi. Odmawialiśmy formułki przeciwko strygom, braliśmy udział w ochronnych rytuałach z użyciem czosnku i ołowiu. Właśnie miałem przełamać ten zakaz.

Od lat nie zwracałem na te rzeczy uwagi. Z wyjątkiem Bożego Narodzenia i Wielkiej Nocy w ogóle nie zauważałem żadnych świąt. I nagle poczułem, że jeśli właśnie dziś przekroczyć próg swojego domu, przypieczętuje tym swój los na zawsze. Prerażające wrażenie. Chyba zaczynałem wariować.

Na koniec zwyciężył jednak zdrowy rozsądek. Jeśli nie zjawilibym się w urzędzie, oznaczałoby to skreślenie z ewidencji i, w efekcie, naprawdę poważne kłopoty. Umyłem się, zjadłem śniadanie i głupie przecucie szybko znikło. Nigdy szczególnie w magii i przesady nie wierzyłem. Niemniej, jakiś ślad we mnie pozostał, który teraz dzwonił odległymi echemi w mojej duszy. Ot, spadek po mamusi...

Idąc na przystanek, całą drogę w tramwaju, potem w urzędzie i w drodze powrotnej, przez cały czas nieświadomie oglądałem się za siebie. Czekałem, kiedy się pojawi. Mogły to być objawy paranoi, niemniej czułem, że psi łeb właśnie dziś ostrzy sobie na mnie zęby. Wołałem być na to przygotowany. W holu urzędu dokładnie przyjrzałem się strażnikowi i wszystkim facetom z ochrony, na korytarzu skontrolowałem wszystkich czekających bezrobotnych, ostrożnie sprawdziłem toalety zanim odważyłem się pójść wysikać. Zajrzałem nawet do pokoju, w którym mieli mnie przyjąć, jednak siedziały tam tylko jakieś dwie podstarzałe urzędniczki. Wszystko było w najlepszym porządku.

W drodze powrotnej zatrzymałem się na zakupy w supermarkecie. Kosztowało mnie to trochę nerwów, ale coś przecież musiałem jeść. Każde spojrzenie pomiędzy regałami, każdy szybszy ruch kasjera, każde mignięcie uniformu ochroniarza przyprawiały mnie o fale paniki. Wariat z tramwaju się jednak nigdzie nie pojawił.

Przemknąłem do swojego bloku po złodowaciałym chodniku najszybciej, jak tylko mogłem. Położyłem siatki z zakupami pod drzwiami, wyciągnąłem klucze i wsunąłem je do zamka.

A, precyzyjniej rzecz ujmując, przynajmniej spróbowałem wsunąć klucze do zamka. Jako że do dziurki pod chromowaną klamką, nagle przestały pasować. Zdjęty grozą postąpiłem krok do tyłu i wpatrywałem się to na świeżo wymieniony zamek, to na wizytówkę na drzwiach, na której było napisane „Przyjaciela poznasz w biedzie”.

O mało tam wtedy nie zemdląłem. Na nogach utrzymałem mnie wyłącznie wzbierający nagle poziom adrenaliny. Na chwilę zamgliło mi się przed oczami, potem jednak przystąpiłem do drzwi i zacząłem w nie zapamiętane łomotać.

– Wpuść mnie do środka, bydlaku! – darłem się w niebogłosy.

Trwało to małą chwilę. Potem usłyszałem jakiś chrobot i szuranie kroków. Ucichły. Drzwi otworzył dopiero po jakichś dwóch minutach. Miał na sobie wyłącznie dresy, rozchodzone kaptcie i ufajdany podkoszulek. Palił papierosa, ręką opierał się o framugę i spoglądał na mnie zupełnie bez zainteresowania. Znowu aż waliło od niego alkoholem. Za jego plecami grała któraś z moich płyt.

– Won z mojego mieszkania! – wrzasnąłem psiemu łbowi prosto w twarz.

Żadnej reakcji. Nie drgnął mu nawet jeden mięsień. Strzepnął tylko popiół z papierosa na mój dywan, zaciągnął się.

– Won! – krzyknąłem jeszcze raz i wskazałem ręką za siebie. Niedopałek zatoczył łuk w powietrzu i stuknął mnie w pierś.

– Z Bogiem... – wymruczał pijany drab i zatrzasnął mi drzwi przed nosem szybciej, niż zdążyłem choćby pomyśleć o zablokowaniu ich nogą.

II.

Do najbliższej budki telefonicznej miałem jakieś sto metrów. Dopadłem jej biegiem, o mało się przy tym nie zabijając na śliskim chodniku. Zadzwoiłem na policję. Radiowóz zjawił się po piętnastu minutach. Przywitałem ich na klatce schodowej, jeszcze raz wyjaśniłem swoją sytuację i poprowadziłem do mieszkania.

Niższy z pary zapukał do drzwi. Tym razem psi łeb otworzył natychmiast. Krótkie spojrzenie na niego, zamiast oczekiwanego obrzydzenia, przyniosło mi chwilową utratę zdolności mowy. Na sobie miał idealnie odprasowaną koszulę i eleganckie spodnie. Był gładko ogolony, w rękę trzymał kubeczek jogurtu z płatkami owsianymi, a po zapachu alkoholu nie został nawet ślad. Najwyraźniej zbił z pantaląku również policjanta, który miał już przygotowane słowa nieco ostrzejsze niż te, w które się teraz odezwał.

– Ehm... Proszę wybaczyć, że przeszkadzamy, ale myśmy... przyszedł w sprawie skargi. Chcielibyśmy wyjaśnić pewne zdarzenie. Ten pan – wskazał ręką na mnie – twierdzi, że dostał się pan do jego mieszkania, wymienił zamek i nie chce go wpuścić do środka.

Psi łeb zmierzył mnie zdumionym spojrzeniem od stóp do głów.

– Najwyraźniej zaszło jakieś nieporozumienie – powiedział głębokim, kulturalnym głosem – to jest moje mieszkanie. Czy na pewno nie pomylili panowie adresu?

Policjant spojrzał zmieszany na swojego kolegę, potem na mnie.

– Zna pan tego mężczyznę?

– Przykro mi, ale nigdy w życiu go nie widziałem.

– Twierdzi, że przed kilkoma minutami dobijał się tu do pana.

Psi łeb bezradnie pokręcił głową i wzruszył ramionami.

– Pańskie nazwisko?

– Bronisław Bohatr.

To już było więcej, niż cios poniżej pasa.

– Kłamie! – krzyknąłem – To JA jestem Bronisław Bohatr i to jest MOJE mieszkanie! Mieszkam tu od urodzenia!

Policjanci spoglądali na siebie jeszcze bardziej zaskoczeni.

– Poproszę was obu o dowody osobiste – jeden z nich próbował jakoś uratować sytuację. Błyskawicznie sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem mój nowiuteńki dowód. Psi łeb na chwilę zniknął w mieszkaniu, by powrócić z luksusowym portfelem z prawdziwej skóry. Podał go stróżowi prawa. Był nad wyraz zrównowazony i pewien siebie. Wydało mi się, że rzucił na mnie krótkie, spokojne spojrzenie. Już wiedziałem, jak się ta farsa skończy. Obaj policjanci odeszli trochę na bok i pochyłili się nad dowodami. Głowy mieli ciasno przy sobie, niedowierzająco nimi kręcili. Potem jeden na coś wskazał, a drugi mu przytaknął. Niższy podszedł do mojego prześladowcy i oddał mu portfel.

– W porządku, panie Bohatr. Przepraszamy, żeśmy pana niepokoił.

– Ale... – zająknąłem się i zaraz umilkłem, widząc chmurne spojrzenie drugiego z policjantów.

Psi łeb portfel wziął, ale stał jeszcze w drzwiach, najwyraźniej czekając na dalszy rozwój wydarzeń.

– Jak długo ma pan ten dowód? – Niższy zwrócił się do mnie, unosząc brązową książeczkę do mojej twarzy.

– Został wydany dwa tygodnie temu przez policję. Przecież jest tam data.

– Zauważyliśmy. Ma pan jeszcze jakiś inny dokument potwierdzający tożsamość?

– Oczywiście! – przytaknałem – To znaczy... nie przy sobie. Wszystko jest w mieszkaniu. Akt urodzenia, paszport, prawo jazdy. Wszystko... – głos mi się załamał, a kolana zaczęły trząść.

– Czyli nie może się pan wylegitymować, tak?

Dłonie same zacisnęły mi się w pięści, aż zbieleły mi kostki.

– No, do cholery jasnej! Przecież mówię, to JA jestem Bronisław Bohatr. Spytajcie się chociaż sąsiadów. Mieszkam tu od lat, na pewno wam to potwierdzą. Albo wejdźcie do tego zasranego mieszkania! Mam tam zdjęcia, dziesiątki papierów z moim podpisem, akt własności... Zapewniam, ten gość to oszust!

Policjanci znów się zawahali. Obaj spojrzeli w kierunku psiego łba. Stał w drzwiach i się nie odzywał. Pojadał ten swój jogurt i kręcił z dezaprobatą głową. Grał doskonale.

Niższy z policjantów po raz ostatni poszedł mi na rękę. Zbliżył się do drzwi po przeciwnej stronie korytarza i zadzwonił. Mieszkała tam jedna emerytka. Znała mnie od małego. Modliłem się, żeby była w domu. Moja ostatnia deska ratunku. Czas, jaki upłynął od dzwonka do otwarcia drzwi, rozciągnął mi się w wieczność. W końcu jednak drzwi uchyliły się i starsza pani wyjrzała na zewnątrz.

– Policja. Czy pani... – funkcjonariusz spojrział na wizytówkę – Feket?

Przez moją głowę przemknął jeszcze jeden pomysł na wybawienie. Zerknąłem szybko na tabliczkę na moich drzwiach. Jednak zamiast „Przyjaciela poznasz w biedzie” znów było tam nazwisko Bronisław Bohatr. Psi łeb uśmiechnął się, jakby czytał mi w myślach.

– To ja. – W głosie emerytki słychać było nutkę niepokoju.

– Potrzebujemy, żeby wyświadczyła nam pani drobną przysługę. Zna pani pana Bohatra?

– Tak.

– Jak długo?

– Dwadzieścia... dwadzieścia parę lat. Mniej więcej.

– Pani Feket, czy byłaby pani tak dobra i wskazała nam, który to z tych panów? – Funkcjonariusz usunął się na bok.

Wystraszona staruszka przyjrzała się nam obu. Potem jakby wróciła jej pewność siebie, uśmiechnęła się do mnie. Odwzajemniłem jej uśmiech. Uśmiechnięta, uniosła powoli rękę i wyprostowanym palcem bez chwili wahania wskazała na...

...psi łeb.

III.

Dałem niezły pokaz. Ogarnął mnie amok. Próbowałem dostać w swoje ręce i oszusta, i panią Feket. Nie sięgnąłem nikogo. Poszły w ruch policyjne pałki. Ocknąłem się dopiero w radiowozie.

Kiedy wieczorem w celi aresztu rozmasowywałem sobie siniaki i guzy, znów przypomniało mi się, że jest Lucji. I co było gorsze? Dać się wykreślić z ewidencji w urzędzie pracy, czy dać się wciągnąć do kartoteki policyjnej?

Powinienem być mieć się na baczności i zostać w domu.

Ku memu własnemu zaskoczeniu tej nocy spałem jednak nad wyraz dobrze. Byłem całkiem zrelaksowany, uspokoiłem się. Jakby nastąpił przełom. Nadeszła długo oczekiwana ulga. Przekroczyłem jakąś granicę.

W końcu, niżej upaść już nie mogłem...

Rano zaprowadzili mnie na przesłuchanie. Zachowywałem się całkiem spokojnie. Żadnego stresu. Myśli miałem klarowne, mówiłem trzeźwo, pewny siebie. Przygotowałem się wewnętrznie, nie chciałem dać się wyprowadzić z równowagi, chciałem przyznać się do błędów, przeprosić za agresywne zachowanie. Po prostu ucieleśnienie pokory.

Stało się jednak inaczej.

Rozmowa ze śledczym przypominała zakłętą krąg. Było oczywiste, że etykietkę psychopaty przykleił mi zanim jeszcze przekroczyłem drzwi. Siedzieliśmy naprzeciwko siebie, a spojrzenie, którym mnie obdarzał, nie skrywało nic poza odrazą i potępieniem. Na podstawie jego pytań wywnioskowałem, że uważał mnie za psychicznie upośledzonego delikwenta, który zaczął prześladować przypadkowego, przykładowego obywatela, wziął się na niego, nabrał złudnego przekonania, że w jakiś sposób zamieniliśmy się osobowościami, a podczas konfrontacji (ze wspomnianym, jak i z rzeczywistością) wywołał burdę. Cóż za domyślna i profesjonalna uwaga. Na pewno już poprzedniego wieczora obdzwonił wszystkie psychiatryki i izby wytrzeźwień pytając dyżurnych, czy przypadkiem nie zbiegł im jakiś niebezpieczny dla otoczenia pacjent. W innej sytuacji pewnie bym się załamał, jednak teraz już się tylko z tego w duchu śmiałem. Na pytania typu „Kim pan właściwie jest?”, „Jak się pan naprawdę nazywa?”, „Gdzie pan mieszka?”, „Jak nazywają się pańscy rodzice?”, „Zażywa pan narkotyki?”, „Pije pan alkohol?”, „Leczył się pan psychiatrycznie?”, „Po co wezwał pan policję?” – odpowiadałem chłodno, spokojnie, zgodnie z prawdą, czym swojego interrogatora przyprawiałem o powtarzające się stany przedzawałowe.

Potem przestało mnie to bawić. Napomknąłem temu śledczemu z bożej łaski o rzekomym sfałszowaniu moich dokumentów, które koniec końców okazały się przecież jak najbardziej legalne. Aczkolwiek w okoliczności ich utraty w dalszym ciągu nie chciał mi uwierzyć. Cóż, świadków nie miałem. Jednak czy to wszystko i tak nie wydawało się zbyt wyrafinowane jak na rojenia wariata?

Policjant udawał, że jest głuchy.

Przeszedłem do kontraktatu. Delikatnie zacząłem przedstawiać fakty z mojego punktu widzenia, a przy tym domagać się sprawiedliwości. W inteligentny sposób nakreśliłem swoją teorię o spisku. Poprosiłem, aby skontaktował się z moją siostrą, znajomymi, kolegami z byłej pracy, aby mogli potwierdzić moją tożsamość. Zaleciłem przeszukanie mojego mieszkania. Zaproponowałem przesłuchanie mnie z zastosowaniem wykrywacza kłamstw. Radziłem mu, żeby zrobił to czy tamto, wszystko, co mi przyszło na myśl, wielkiego wyboru w końcu i tak nie miałem. Brakowało mi niezbitych dowodów, które mogłyby bezwzględnie poświadczyć moje słowa.

Trudziłem się jednak na darmo. Na darmo wysiłałem mózg, wspinałem się na wyżyny dyplomatyczne, fechtowałem słowami. Wyjaśniałem, a on nie słuchał. Podawałem imiona, których on nie zapisywał. Co więcej, w pewnym momencie spytał mnie niby z jakiej racji z powodu jakiegoś ćwoka miałby niepokoić siostrę pana Bohatra...

Zrezygnowałem. I na tym się przesłuchanie skończyło.

Wyczerpany i podłamany, zażądałem możliwości skorzystania z telefonu, do czego przecież miałem prawo.

Spróbowałem zadzwonić do Jany, potem do Michała – gitarzysty z naszej kapeli. W obu przypadkach nikt nie odebrał. Pewnie byli jeszcze w pracy.

Pozwolono mi spróbować jeszcze raz później.

IV.

W celi nie zdążyłem nawet zagrześć porządnie miejsca, a już mnie z niej znów wygnali. Tym razem nikt mi nic nie wyjaśnił, poprowadzili mnie tylko korytarzami, aż wreszcie znalazłem się w źle wywietrzonej izbie przesłuchań.

W pomieszczeniu czekał już mały, kościsty facecik w szarej marynarce i krawacie. Dzięki grubym obwódkom wokół oczu wyglądał najmarniej na czterdzieści pięć lat, jednak w jego krótko przystrzyżonej brodzie nie było widać ani jednego siwego włoska. Miał gęste, czarne, dość długie włosy, ułożone niezbyt starannie, przez co sprawiał wrażenie podstarzałego hipisa. Czyżby psychiatra? – pomyślałem. Na stole przed nim leżał nesesor, obok kluczyki do samochodu.

– Boris Skarbczuk, adwokat – przedstawił mi się i z profesjonalnym uśmiechem na twarzy podał mi wizytówkę. – Białorusin z pochodzenia – dodał, widząc na mojej twarzy zdziwienie, kiedy usłyszałem nazwisko.

Z roztargnieniem spojrzałem na zafoliowany kartonik i kiwnąłem głową.

– Proszę usiąść.

Przez chwilę było cicho. Siedzieliśmy tylko i spoglądaliśmy na siebie. Dał mi czas na oswojenie się z sytuacją.

– A zatem, panie Bohatr, jak się pan zapewne domyśla, jestem tu, aby zaproponować moje prawnicze usługi. Między innymi.

– Ehm... – odchrząknąłem i pokręciłem głową. – Na próżno się pan fatygował. Nie mam pieniędzy na adwokata. Niedługo przydzielą mi jakiegoś z urzędu. – postanowiłem grać głupiego.

– Wiem, że pan nie ma pieniędzy – Skarbczuk usadził się wygodniej w fotelu – i właśnie dlatego pańskiej obrony podjęliśmy się my. Żebyśmy się dobrze zrozumieli, nie jestem samodzielnym wolnym strzelcem. Nie jestem tu też z własnej inicjatywy. Zostałem do pańskiej sprawy przydzielony. Pracuję dla... hm, powiedzmy organizacji społecznej – jeśli pan pozwoli jej nazwę chwilowo zatrzymam dla siebie – oferującej pomocną dłoń obywatelom borykającym się z problemami „specyficznej natury”. Jak pan w tej chwili. Spełnia pan wszystkie kryteria. Wiem, że zjawiam się niezbyt szybko, prawdopodobnie sprawy musiały posunąć się odpowiednio daleko... Wcześniej nie byliśmy w stanie zorientować się w pańskich kłopotach. Cóż poradzić. Wie pan, późna jesień, a na jesieni na nasze usługi zawsze popyt jest zwiększony.

– Problemy specyficznej natury? – spochmurniałem. Pachniało mi to kolejnymi kłopotami. Białorusin uśmiechnął się lekko.

– Jest pan wierzący? – odpowiedział pytaniem.

– Raczej nie.

– Nie pytam, czy wierzy pan w chrześcijańskiego boga. Raczej tak ogólnie. Na przykład w wyższe siły rządzące tym światem. Coś, co pozwala utrzymać porządek. Magia, Matka Natura, cokolwiek...

– Możliwe. – Nie miałem pojęcia dokąd to zmierzało.

– A jakby pan zareagował, gdybym powiedział panu, że mam dowody na to, iż w naszym najbliższym otoczeniu żyją

pewne nadprzyrodzone istoty, które jak świat światem, są wśród nas od zawsze i mają wpływ na nasze losy?

Rozejrzałem się po pomieszczeniu. Z kim mnie tu zamknęli? Facet najwyraźniej bredził.

– Powiedziałbym, że gada pan kompletne głupoty – odparłem.

– Czyżby? – uśmiechnął się chytrze – Prześladowuje pana chłop o sile byka, któremu wystarczyło jedno spotkanie, aby dowiedzieć się o panu wszystkiego. Samą swą wolą manipuluje ludźmi i przedmiotami w swoim najbliższym otoczeniu, w jednej chwili potrafi zmienić swój wygląd, głos i zachowanie. I jak pan to zechce nazwać?

Wystraszyłem się, aż mną wstrząsnęło.

– Ma pan pojęcie, ilu jemu podobnych żyje między nami?

Milczałem.

– Nasza organizacja stara się śledzić ich działalność. Powstrzymujemy, uświadamiamy i wyciągamy z kłopotów ich ofiary. Chce się pan dowiedzieć, kto się na pana wziął?

Urwał. W głowie miałem kompletny mętlik. Gość siedzący przede mną wiedział więcej niż sam komukolwiek do tej pory powiedziałem. Może jednak nie był tak całkiem szurnięty?

– Powiedzmy, że nie mam nic przeciwko wysłuchaniu pana do końca – odpowiedziałem cokolwiek wymijająco.

Adwokat z triumfalnym uśmiechem pstryknął palcami i wyciągnął nogi na stół.

– Ten pański psi łeb, jak go pan sobie nazwał, nie jest człowiekiem – zaczął spokojnym głosem. – Należy do kasty wyższej. Demony, skrzaty, zakłęte bóstwa drzew, potoków, czy jezior... Proszę ich sobie nazywać zgodnie z życzeniem. Przed wiekami byli częścią naszego codziennego życia, dziś, choć usunięci w cień, wciąż są między nami obecni. Zmienili się, zaaklimatyzowali, trochę ucivilizowali. Jednak prastare potrzeby wciąż im pozostały.

Nie są wytworami naszej wyobraźni, jak bogowie. O tych może pan zapomnieć. Choć też żyją z ofiar i naszej krwi. Stworzyła ich Ziemia, do utrzymania równowagi. Przed nadmiernym rozrostem populacji królików chronią nas drapieżcy. Nad krowami, świniami i innym bydłem trzymają dozór ludzie. A my? Myśli pan, że nas nikt nie pilnuje?

Zaśmiał się głośno najwyraźniej ubawiony własnym porównaniem.

– Przyjmuje pan moje słowa z wyraźną rezerwą – kontynuował. – Nikt tak naprawdę nie wie, czym są dokładnie. Mamy ich podzielonych, posegregowanych, opisanych, niestety jeśli chodzi o ich właściwą naturę, wielu rzeczy wciąż jeszcze nie wiemy...

– A psi łeb? – przerwałem mu.

– Ten? – Sięgnął po nesesor i wyciągnął z niego grubą teczkę. – Pożeracz energii życiowej, istota demoniczna. Posługując się językiem dzisiejszym, można by go nazwać energetycznym wampirem. Ma też i stare, pogańskie imiona – Zguba, Bieda, Nędza. Nad wyraz trafne. Zabiera swoim ofiarom mienie, wolę, przyjaciół, bliskich. Izoluje ze społeczeństwa, przejmuje osobowość. Żyje ze strachu i trwogi słabych i pokornych. Krótko rzecz ujmując, jest to kawał sukinsyna, który będzie pana prześladował, aż szlag pana trafi...

W pomieszczeniu zapadło grobowe milczenie. Drobny facecik zamarł z rozpostartymi rękoma i iskierkami w oczach. Pogratulować dramatycznego efektu.

Nie paliłem od lat, jednak w tej chwili oddałbym królestwo za papierosa.

– Czemu akurat ja? – przełamane cichym szeptem milczenie.

– Ciężko powiedzieć – kontynuował adwokat. – Mógł na pana trafić zupełnie przypadkiem. Możliwe, że wybrał sobie pana dzięki temu, iż jest pan słaby i łatwo panem manipulować. Albo na odwrót. Bo ma pan coś, czego nie mają inni. Im więcej odbierze ofierze, tym sam będzie silniejszy.

Zaśmiałem się gorzko. W niczym nigdy nie byłem wyjątkowy.

– To wszystko jest kompletnie niewiarygodne. – Kręciłem głową.

– Życie jest niewiarygodne, przyjacielu. A to tylko jeden z jego elementów.

Uświadomiłem sobie, że trzymam twarz ukrytą w dłoniach i wspominam, jak to całkiem niedawno próbowałem wyczytać swą przyszłość z wróżb w jakiś kolorowym tygodniku. Było to całkiem... zabawne.

Wtedy. Dziś już nie.

– Więc, według pana, co będzie dalej?

Białorusin westchnął.

– Stracił pan pieniądze, mieszkanie, tożsamość. Tak na samą logikę, co może być kolejne?

– Mam jeszcze jakieś pieniądze na koncie...

– Niech pan nie będzie śmieszny! Ma dowód z pańskim nazwiskiem i numer rachunku. Czy to taki problem sfalszować jeden podpis? Proszę zadzwonić do banku. Pańskie konto jest już dawno czyściuteńkie. Jest pan na dnie. Kompletnym.

– Czyli...? – W gardle kompletnie mi zaschło.

– Zostało panu już tylko jedno – życie. Wampir wysłał źródło do dna. Nie ma co po sobie zostawiać. Nie będzie przecież ryzykować, że jego ofiara wróci upomnieć się o swoje.

W kompletnej ciemności rozbłysła iskierka nadziei.

– Czyli istnieje możliwość odzyskania swojego życia?

– Istnieje. Ale sam nie da pan rady.

Czekałem, kiedy znów podejmie temat.

– Co pan więc proponuje – spytałem wprost. Odnosiłem wrażenie, że sprawy zaczynają przybierać korzystny dla mnie obrót.

– Natychmiastowe zwolnienie z aresztu, tymczasowe, bezpieczne lokum, pomoc w odzyskaniu tego, co pan stracił.

– Cena? – Wierciłem się jakbym siedział na szpilkach.

– Dowie się pan niedługo. – Uśmiech adwokata był jak przyklejony. – Póki co wystarczy, jeśli podpisze pan to oświadczenie o zachowaniu milczenia i chęci współpracy.

Rzuciłem się do stołu.

– Nie mam nic do stracenia – powiedziałem, chwytając za pióro.

– Zaiste, nie ma pan.

V.

Między rozmową a wypuszczeniem mnie na wolność nie upłynęła nawet godzina. Nie wiedziałem, czy jest to normalne, ale nie przejmowałem się tym zbytnio.

Boris Skarbczuk czekał na mnie przy samochodzie na parkingu przed budynkiem. Miał starego, wysłużonego fiata. Żaden luksus w taką pogodę, ale i tak wydawało mi się to lepsze, niż gdyby miał mnie wyratować jakiś snob w beemce.

Dobrze sytuowani ludzie jakoś nigdy nie wzbudzali we mnie zaufania. Wysypanym solą chodnikiem podszedłem chwiejnie do samochodu i przez jakieś trzy minuty serdecznie dziękowałem adwokatowi. Uśmiechając się ze zrozumieniem, poklepał mnie po ramieniu, otworzył drzwiczki i posadził mnie z tyłu.

– Niedaleko Koszyc mamy taki przytulny pensjonacik – powiedział. – Z pewnością kąpiel i posiłek dobrze panu zrobią.

Po tych wszystkich przejściach czułem się, jakbym się dostał pod opiekę prawdziwego cudotwórcy. Rozparłem się na skórzanym siedzeniu, zamknąłem oczy i odchyliłem głowę do tyłu. Ruszyliśmy powoli w drogę. Warkot silnika zdał mi się jak najcudowniejsza muzyka, delikatne podskakiwanie samochodu działało usypiająco. Zapadłem w drzemkę zanim wewnątrz samochodu zdążyło się porządnie zagrzać. Śniłem o miękkim łóżku z czystą pościelą, o bezstroskim weekendzie ze słuchawkami na uszach, o nowiuteńkiej gitarze. Psi łeb chwilowo zupełnie zniknął z mojej pamięci. Umysł wypełniały mi przyjemne myśli i błogie sny. Niebiański spokój. Znikły nawet myśli o zemście.

– Zbierzemy jeszcze dwóch kolegów – usłyszałem w pewnej chwili głos Skarbczuka dochodzący gdzieś z oddali. Wydawało mi się, że przez szybę rozpoznałem sylwetkę mostu na Barcu.

Zatrzymaliśmy się na skraju jezdni i zanim zdążyłem się poprawić i porządnie usadzić, tylne drzwi z obu stron samochodu otworzyły się równocześnie i do środka wpakowało się dwóch rostrych chłopów. Nie zdołałem im się nawet przyjrzeć. Lyse czachy i szeleszczące dresy. To było wszystko, co udało mi się zarejestrować. Masą swoich ciał kompletnie mnie unieruchomili. Niczym kura ściśnięta na grzędzie próbowałem rozepchnąć się między zwałami nabitych mięśni i ostrymi łokciami. Pomięty, przepocony materiał czułem zaledwie o kilka milimetrów od mojej twarzy. Zalała mnie nowa fala strachu i zaskoczenia. W jakiś sposób od razu skojarzyli mi się z psim łbem.

– Poznajcie się. – Wiecznie uśmiechnięty Skarbczuk obrócił się do tyłu. – To kolejni pracownicy naszej organizacji – Roman Wielkołak i Fedor Diablik. Papieroska, chłopcy?

Obaj milczeli jak zakłęci, nikt do podanej paczki nie sięgnął.

– Zabawne przezwiska – próbowałem w przyjacielski sposób nawiązać konwersację.

Skarbczuk zachichotał. Zrozumiałem, że jego wesołość wzbudziła nie uwaga jako taka, ale moja głupia naiwność. Nie mogłem uwierzyć w to, co się dzieje. Świat znowu zwirował, wszystko się pomieszało. Znowu nie wiedziałem, gdzie góra, gdzie dół, kto jest dobry, a kto zły. Iluzja porządku, którą cieszyłem się raptem przez chwilę, rozplynęła się jak dym na wietrze. Los nie rozdawał już kart, jak pomylenieć rzucał je garściami w powietrze. W ten sposób przecież nie da się grać!

Próbowałem przecisnąć się do przodu, zdobyć trochę przestrzeni, złapać oddech. Zostałem natychmiast i bez litości ściągnięty w tył.

– Spokojnie, panie Bohatr, zawieziemy pana w bezpieczne miejsce dokładnie tak, jak panu obiecałem. – Skarbczuk znów na mnie spojrzał i głośno się zaśmiał. – Najbezpieczniejsze z możliwych.

Oblał mnie zimny pot i zrobiło mi się niedobrze.

Śmierć.
Najwyraźniej właśnie sobie o mnie przypominała.
Samochód mknął w kolumnie innych pojazdów.
W nieznanym kierunku.

VI.

Pierwszy, po jakiejś pół godzinie, odezwał się drab po mojej prawej stronie. Skrzypiący głos przypawił mnie o gęsią skórkę.

– Ile za niego dostałeś?
– Swoją dolę dostaniecie, nic nie bój! – odwarknął mu Skarbczuk.

– Kantujesz nas!

– Czyżby?

– Jesteś kanciarz, oszust i kłamca. Wszyscy to mówią.

– Serio? A kto cię zatrudnia? Oni czy ja? Jeśli ci te matoly dają więcej, to pakuj się i jazda. Ja siłą u siebie nie trzymam.

Facet nie odpowiedział, tylko cicho zawarczał. Znów wstrząsnął mną dreszcz. Samochód wciąż pomykał w dal.

Roman Wielkołak i Fedor Diablik.

Demony? Istoty mroku? Pogańskie bóstwa?

Kiedy przyjrzałem się facetowi z prawej, rzeczywiście przypominał trochę wilka. Miał podłużne, spiczaste uszy, szczękę ukształtowaną jak żaden inny człowiek, charakterystyczną, ciemnosiwą bródkę i przedramiona pokryte gęstymi kłakami. Złoty zegarek zupełnie w nich ginął. Ten drugi wyglądał jeszcze dziwniej. Był potężniejszej budowy, miał dziwnie ukształtowaną czaszkę, nienaturalne podgardle, a skórę w wielu miejscach pokrywały mu krosty i liszaje. Oddychając, ciężko charczał, a w oczach płonęły mu złe, piekielne ogniki. Jednak na pierwszy rzut oka obaj wyglądali całkiem normalnie.

Zastanawiałem się, czy pożyję wystarczająco długo, by spotkać się z jeszcze dziwniejszymi stworzeniami. Powoli docierało do mnie, że raczej nie.

– Nie powinien wiedzieć dokąd jedziemy? – odezwał się znów Wielkołak. – A jak coś się posra?

– Zguba to solidna firma. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby coś nie wypaliło.

– Ale co, gdyby...

– Cisza! – wrzasnął Skarbczuk.

Ja osobiście zaś zdziwiłem się nad własną fizyczną konstrukcją, będącą w stanie wytrzymać siłowy napór z obu stron. Przez następnych kilka minut trwała cisza.

Potem przed samochodem pojawił się zjazd na parking. Skarbczuk zwolnił, zjechał z głównej drogi i elegancko zaparkował za okazałym, stojącym tam kontenerem.

– Do kufra z nim – powiedział, nawet się nie odwracając. Bez cienia emocji przypalił kolejnego papierosa. Oba kafary posłusznie wykonały rozkaz. Próbowałem się bronić, jednak – jak się z pewnością domyślicie – bez większych sukcesów. Kłapa się zamknęła, a ja skończyłem na dnie ograniczonej, smrodliwej przestrzeni z kanistrem pod plecami. Bez ruchu, skulony aż do końca podróży.

VII.

Zaparkowaliśmy w garażu. Mniej więcej w godzinę po przystanku na parking. Słyszałem, jak otwierają i zamykają się blaszane wrota, porywacze wysiadają z samochodu

i wychodzą gdzieś, nawet nie zastanawiając się nade mną, wciąż tkwiącym w bagażniku.

Podziękowałem Bogu za okazję i zabrałem się za przebadanie wnętrza bagażnika. Zacząłem metodycznie, od zamka, jednak w kompletnych ciemnościach nie udało mi się odgadnąć nawet jego budowy, a co dopiero mówić o otwarciu. Potem spróbowałem użyć siły. Napierałem na karoserię nad sobą, na oparcia oddzielających mnie od kabiny foteli. Bez rezultatu. W tak małej przestrzeni nie dałem rady dostatecznie manewrować ciałem, nie było się nawet o co zaprzeć. Wściekałem się, kłamię, szarpałem, a potem próbowałem jeszcze raz i jeszcze raz. Bezsilność doprowadzała mnie do rozpacz, do granic obłąd. Od wolności oddzielały mnie dwa milimetry blachy, dokładnie takiej samej, jak z naszej huty. Ot, ironia losu...

Po kilku minutach tej szarpaniny zupełnie zmieniłem podejście do swojej sytuacji. Leżałem wyczerpany, obolały, załamany, próbując sprawiać sobie jak najmniej niepotrzebnego bólu. Do tego zacząłem mieć problemy z oddychaniem. Większość powietrza zużyłem podczas bezowocnej szarpaniny, a świeże napływało małymi szczelinami zbyt wolno.

Najgorsze zaś stały się wszystkie zgięte stawy, które po jakiejś pół godzinie głośno zaczęły domagać się choćby chwilowego rozprostowania. Wszystko miałem kompletnie ściernięte i odrętwiąłe. Zdawałem sobie sprawę z tego, że zbyt długi bezruch może mieć poważne następstwa, a niedokrwienie prowadzić do obumarcia tkanek. Gdzieś kiedyś czytałem, że wystarczy raptem czterdzieści minut. Jakiś lekarz zapomniał pacjentowi zdjąć opaskę uciskową i trzeba było potem amputować kończynę. Nawet jeśli jakimś cudem przeżyję, dni moich kończyn są już policzone. O takich rozkoszach jak precyzja w ruchach mogłem już tylko śnić.

I nawet nie przeczuwałem, że najgorsze dopiero mnie czeka. Silnik, a wraz z nim cały samochód powoli się wychładzały. Garaż oczywiście nie był ogrzewany, także wrota nie całkiem szczelne. Słyszałem jak nieustająco łomoce nimi wicher. Na zewnątrz musiało być prawdziwe piekło.

Godziny mijały, a wraz z nadchodzącą nocą spadała temperatura. Trząsałem się na całym ciele i czułem, jak mróz wnika w moje ciało, dochodzi aż do kości. Nos, uszy, palce u rąk i stóp kompletnie mi już odmarły. Daro próbowałem chronić je pod kurtką. Była tak samo zimna, jak otaczająca mnie blacha.

Powtarzałem sobie, że nie wolno mi zasnąć. Jeśli usnę, zamarzną. Stopniowo zaczęły się pojawiać symptomy wychłodzenia. Przed oczami, niczym upiorne zwidy, tańczyły mi białe plamy, w uszach huczało. Oddech spowolnił. Puls stał się niewyczuwalny. Byłem absolutnie pewien, że nie dożyję rana. Nie wiem, jak długo stawałem opór. Może do zmroku, może do północy... Fluorescencyjne cyfry zegarka zbladły już dawno. Ciemność wypełniona wirującymi plamami otworzyła drogę halucynacjom, a te przeszły w sen.

Stąd do kompletnej utraty świadomości był już tylko krok.

VIII.

Ktoś delikatnie zapukał w pokrywę bagażnika. Otworzyłem oczy, przechodząc z ciemności do ciemności.

– Przebierz się, Bohatr. Kobieta z wizytą.

Był to cichy, żeński głos zmysłowy jak szelest kwiatów wplecionych w wianek, słodki jak leśne jagody... Wstrzymałem oddech, próbując ustalić, czy wciąż jeszcze tkwię w królestwie snów, czy jednak naprawdę się przebudziłem.

– Podoba ci się mój głos?

– Tak – szepnąłem.

– Chciałbyś mnie ujrzeć?

Próbowałem znów potaknąć, jednak tym razem nie wydobyłem z siebie głosu.

– Zamknij oczy i skoncentruj się...

Brzmiało to jak wabiący śpiew meduzy, jednak za słowami płynęła fala sympatii i ciepła. Posłuchałem. Przestrzeń wokół mnie nagle została jakby uwolniona. Rozprostowałem się. Zdrętwiałe członki aż jęknęły z ulgi.

Spostrzegłem, że leżę na miękkim, ciepłym kobiercu pośrodku kręgu matowego światła. Poza nim jednak wciąż panowała ciemność.

– Jesteś tu? – Ledwie wydobyłem dźwięk z obolałego gardła, jednak mój głos rozszedł się mocny, dźwięczny, prosto w nieskończoną ciemność.

Z mroku wyłoniła się kobieta.

Ucieleśnione piękno. Gęste włosy splatające się w delikatne loki, ciemny blond, niezwykle, turkusowe oczy, zmysłowe usta i rozkoszny nosek. Dalej powabne krzywizny, poruszające się nęcąco pod opinającą, wieczorową suknią z długim rozcięciem odsłaniającym idealną łydkę i fragment uda. Jak wycięta z okładki magazynu dla panów.

Przeciągnęła się jak kotka i, mrużąc cicho, przyjrzała się sobie uważnie. Potem uśmiechnęła się do mnie i z gracją siadła na przeciwko.

– To tylko sen, prawda? – spytałem.

– Iluzja – poprawiła mnie. – Jestem słaba, straciłam swe materialne ciało już lata temu. To wszystko, na co mnie teraz stać. – westchnęła. – Nie przyjąłam żadnej ofiary od bardzo dawna.

– Wyglądasz wspaniale – nie powstrzymałem się od komentarza.

Zaśmiała się.

– Wszystko mam stąd – wskazała na moje czoło. – Jestem dokładnie taka, jaką mnie chcesz.

Nie przeszkadzało mi to. Lepsze już piękne kłamstwo niż dalsza bolesna rzeczywistość.

– Kim jesteś?

– Jam boginka miła Dobromiła. – Puściła do mnie oczko i pozwoliła jednemu z loków opaść jej powabnie na twarz. – Żartuję – znów się zaśmiała i odchyliła głowę do tyłu. – Jestem demonem. Podobnym do tych, których już spotkałeś.

– A czego ty chcesz?

– Jak wszyscy, many.

– Manny? – zdziwiłem się. – Pokarmu bogów?

– Many. Pokarmu wszystkich wyższych istot. Niepodobnej niczemu innemu, niezastąpionej życiowej energii, której źródłem jesteście dla nas wy – ludzie.

Łup Zguby, pomyślałem. Musiał się bydlak nieźle na mnie obkuć.

– I co mi zamierzasz zrobić? – spytałem niepewnie.

– Nic.

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Jest wiele bóstw. – Podciągnęła kolana, objęła je rękoma, oparła na nich brodę. – A w zasadzie, są dwa rodzaje bóstw. Te, które biorą, i te, które dostają. No nie chmurzcie

się tak, to wcale nie to samo. Ci pierwsi wolą łatwiejszą drogę. Przypadkowo wybierają ofiarę, zabijają ją, piją krew, zabierają energię. Jednak im prymitywniejszy sposób łupieży wybiorą, tym mniej energii z człowieka wycieka. Ci drudzy brać bez pytania w zasadzie nie muszą. Otrzymują swój pokarm jako ofiary, śluby, poświęcenia, czy posty w zamian za drobne przysługi. Dbają, by nie wysechł strumień, pilnują plonów, by były obfite, by dzieci rodziły się zdrowe. Matka Natura chętnie ich wysłuchuje, są mili jej sercu. Potrafią też coś jeszcze. Chronić. Chronić swych dobroczyńców przed tamtymi.

– A co jest twoją domeną? – zaciekawilem się.

– Daję siłę powtórnego przebudzenia. – kontynuowała, mówiąc powoli, z zamkniętymi oczyma. Na wiosnę śpiewam ziarenkom w ziemi, aby wykiełkowały i dały plon. Doglądam spokoju matek, które po zimie przywodzą na świat swoje młode. Pobudzam soki, które na nowo zaczynają krążyć w pniach drzew.

– Masz wielką moc... – wyszeptalem zaskoczony, z niejaką bojaźnią w głosie.

Spojrzała na mnie wzrokiem małego kotka, który właśnie z dumą zaprezentował swojemu panu nowonabytą umiejętność ocierania się o nogę. – Zdołałabyś zapewnić ochronę i mnie? – spróbowałem.

– Pod warunkiem, że nabiorę sił – spoważniała. – Jednak nie mogę ci niczego obiecać. Wy, niewdzięcznicy, straciliście w nas wiarę, a my, co za tym idzie, straciliśmy większą część naszej mocy. Nadszedł czas niewiary. Ciężkie czasy dla nas wszystkich. Wielu zwróciło się ku tej ciemnej drodze, aby tylko przeżyć. A wierni starym zwyczajom nadal słabną...

Skargę wypowiedziała ot tak, niby mimochodem, jednak z tonu głosu dało się wyczytać, jak głęboko ludzka zdrada ją zraniła, jak wielkim napełniła żalem. Od razu poczułem się jakoś tak odpowiedzialny za nas wszystkich, gotów błędy ludzkości naprawić choćby w tej chwili.

– Chciałbym ci pomóc odzyskać siły – powiedziałem z mocnym postanowieniem w głosie. – Co mam zrobić? W jaki sposób zapłacić? Jeśli chcesz, otworzę sobie dla ciebie żyły, tylko wyciągnij mnie z tego koszmaru. Przykro mi, że nie mogę więcej. Ale nie zostało mi już nic innego. Nic więcej po prostu nie mam.

W jej oczach nagle rozbłysło zaskoczenie i strach.

– Ależ, Bohatr, żadnej krwi – wyszeptala przerażona. – Wciąż masz coś, co jest dla mnie o wiele cenniejsze niż to, co krąży ci w żyłach. I jest to tu – znów wskazała na moje czoło. – Pamiętasz wciąż jeszcze tę melodię, o której myślałeś tego wieczora, kiedy po raz pierwszy spotkałeś Zgubę? Te cudownie przeplatające się tony. Wyśnione, uczuciowe... coś, co samo pobudza do życia.

Przypomniałem sobie. Na policzki wystąpiły mi rumieńce błogiej dumy.

– Zadedykuj mi ją – poprosiła. – Mnie ją poświęć, potrzebna mi nowa pieśń, którą będę mogła nucić nieśmiałoemu słońcu i skurczonym korzonkom pierwszych przebiśniegów. Złóż ją na mój ołtarz, a ja postaram się nazbierać dość sił, aby cię uratować.

Powietrze pełne było napięcia elektrostatycznego, jak po burzy. Budziła się magia, podpowiadała mi, co mam robić.

– Jak się nazywasz? – spytałem. – Muszę znać twoje imię, abym mógł ci tę piosenkę zadedykować.

– Nie jestem ochrzczona, nie mam imienia. – uśmiechnęła się do mnie wesoło, jednak pytanie potraktowała poważnie. – Najczęściej mówią o mnie Przebudzenie, ale to

chyba nie jest nic, co mogłoby ci pomóc. Sama nie wiem, nic mi nie przychodzi do głowy... – zamyśliła się.

– Zawsze podobały mi się imiona, które twoi przodkowie nadawali bogini wiosny. Dobromiła, Jarmiła, Milena albo Mileda. Są słodkie i takie niewinne. Wybierz sobie jedno.

Zdecydowałem się, jednak jeszcze przez kilka sekund trzymałem ją w napięciu.

– W porządku. Będiesz boginką Dobromiłą – powiedziałem, wywołując u niej kolejny uśmiech.

– W porządku, czemu nie – zgodziła się. – Chodź – wyciągnęła do mnie ręce.

Ułożyłem się obok niej, zamknąłem oczy, a głowę położyłem na jej łonie. Poglądziła mnie delikatnie po włosach. Czuję się jak mały chłopiec na kolanach u mamy. Z głębi mojego jestestwa zaczęła powoli wypływać melodia. Przestrzeń wokół nas zamglila się, rozplynęła. Wszystko wypełniała muzyka. Boginka słuchała.

Było w tym coś przerażającego i pięknego zarazem. Natarczywego, ale i uspokajającego.

Pozwoliłem wybrzmiewać tonom niewidzialnej orkiestry, a sam udałem się z powrotem w podróż do krainy snów.

Z małą nadzieją w sercu.

IX.

Obudził mnie dźwięk otwierających się wrót do garażu. Małymi szparami, które najwyraźniej powstały w trakcie mojej szamotaniny, do wnętrza bagażnika przeniknęły drobne promyki czwartkowego poranka. Po krokach zorientowałem się, że do garażu weszła tylko jedna osoba. Tajemniczy ktoś nie otworzył jednak, wbrew moim oczekiwaniom bagażnika, wsiadł natomiast do samochodu i zastartował silnik. Samochód ruszył. Wyjechaliśmy z garażu, potoczyli się kawałek po podwórku, a potem znaleźliśmy się na drodze.

Czułem się znacznie lepiej niż poprzedniego wieczora. Jakimś cudem przeżyłem. Wciąż byłem ścierpięty, ciało miałem pozbawione czucia i bezwładne, jednak czułem krew pulsującą w żyłach, czułem życie tłące się w kończynach. Zupełnie, jakby chwilowe uwolnienie we śnie pomogło mi naprawde.

Znów czułem się też znacznie lepiej psychicznie, choć przeczuwałem, że oto nadchodzi wielki finał. Za niedługo miała się wreszcie definitywnie skończyć moja udręka i powiedziałem sobie, że niech się dzieje, co chce, ale na spotkanie z przeznaczeniem wyjdę jak mężczyzna. I kiedy tak leżałem w trzęsącym się bagażniku i pocieszałem się własnymi myślami, nagle zorientowałem się, że w dłoni zaciskam jakieś drobne, okrągławe przedmioty. Przypominały mi ziarna zboża. Zbliżyłem rękę do twarzy i spróbowałem je powąchać. Pachniały jakąś leśną rośliną, jednak nie udało mi się ustalić dokładnie, jaką. Nie miałem pojęcia, skąd się wzięły w mojej dłoni. Walały się gdzieś na dnie bagażnika? Miałem je w kieszeni kurtki? A może przyniosłem je ze sobą z... Właściwie, to sam dobrze nie wiedziałem, gdzie byłem.

Z zamyślenia wyrwało mnie ostre hamowanie samochodu i uderzenie głową w blaszaną pokrywę. Kierowca zjechał na jakąś boczną, wyboistą drogę.

A zatem... to już.

Po wybojach nie tłukliśmy się zbyt długo. To nie miała być daleka wycieczka. Samochód zatrzymał się, kierowca wysiadł i weisnął kluczyki do zamka bagażnika.

Przygotowałem się na decydującą konfrontację.

Kłapa otworzyła się i wzrok poraziło mi białe światło przedzierające się przez zaśnieżone gałęzie sosen. Nade mną stał Zguba. Znowu w neonazistowskiej kurtce z tą debilną naszywką na piersi.

„Przyjaciela poznasz w biedzie”.

Myślałem, że uda mi się wyskoczyć i uciec. Błąd. Zesztywniałe mięśnie mnie nie posłuchały. Po raz kolejny nie dokonałem niczego godnego własnego nazwiska.

Zguba chwycił mnie za wszarz i brutalnie wyciągnął z kufra. Ziarenka wysypały mi się pomiędzy palcami. Sekundę później byłem na ziemi. Demon się ze mną nie cackał. Rzucił mnie na śnieg, wykręcił mi ręce na plecach, kolanem przyduśił do ziemi. Potem wolną ręką sięgnął do kieszeni. Nie widziałem, co wyciągnął, ale wydawało mi się, że usłyszałem cichy trzask. A potem na skroni poczułem dotknięcie zimnej stali.

Skuliłem się przerażony.

Tuż przy moim uchu palec Zguby nacisnął na spust.

X.

Broń nie wystrzeliła. Zacięła się.

– W dupę! – krzyknął demon i puścił moje przedramiona, aby obiema rękoma móc skontrolować zamek broni. Natychmiast wykorzystałem sposobność. Obróciłem się pod nim, podciągnąłem i kopnąłem w twarz. Słabo, bo słabo, jednak wystarczająco, aby stracił równowagę.

Życie to droga przez mękę.

...jednak kiedy próbują ci je odebrać, zrobisz wszystko, aby go nie oddać.

Spróbowałem wstać i uciec, jednak mięśnie znów mnie nie posłuchały. Zguba opamiętał się błyskawicznie, przyskoczył, zdołał złapać mnie za nadgarstek. Desperacko próbowałem go odepchnąć. Rozdarł się jak zarzynane prosię.

Puścił mnie i złapał się za to miejsce na twarzy, gdzie trafiła moja dłoń, w której wcześniej trzymałem nasionka. Wykwitła tam świeża oparzelina. Musiało to potwornie boleć. Zawył, skulił się, wycofał spoza mojego zasięgu, zaczął zataczać się na śniegu.

Szczyście zaczęło mi wreszcie sprzyjać.

W następnej chwili potknął się na wystającym spod śniegu korzeniu, zachwiał i runął plecami w leśną kotlinkę otwierającą się tuż za nim. Zrobiło się cicho.

Usiadłem na śniegu i czekałem. Przez dłuższą chwilę nie wydarzyło się nic. Powolutku więc dźwignąłem się i ostrożnie wyjrzałem zza krawędzi.

Leżał na dnie nieprzytomny. Podczas upadku musiał uderzyć głową w jakiś kamień. Rozejrzałem się. Jego pistolet leżał tuż przy mnie. Długo się nie zastanawiałem. Podniosłem broń, na tyłku zjechałem na dół i stanąłem nad demonem. Nadal się nie ruszał.

Roztrzęsionymi rękoma wymierzyłem w psi łeb, wystrzeliłem.

Tym razem wszystko zadziało.

A więc na koniec karta się odwróciła. Przez głowę przebiegły mi wszystkie te rzeczy, które mi do tej pory zrobił, targnął mną okrutny gniew. Nastal czas zapłaty! Wystrzelałem do niego cały magazynek. Kula po kuli. Dźwięk wystrzałów niósł się daleko po cichym lesie. Był

ogłuszający. Potem zabrakło mi sił na cokolwiek. Opuściłem rękę, która przyniosła śmierć po raz pierwszy w życiu, usiadłem na śniegu i czekałem.

Nie czułem żadnych wyrzutów. Jedynie pustkę i długo oczekiwaną ulgę.

Zguba konwulsyjnie poruszył prawą nogą.

Mogły to być pośmiertne konwulsje, jednak strasznie mnie przeraziły. Może wcale nie był martwy? Strach znów postawił mnie na nogi. Co zaczęte, należało doprowadzić do końca. Schowałem pistolet do kieszeni, wdrapałem się z powrotem na górę. Bagażnik samochodu był wciąż otwarty. Schyliłem się i wyciągnąłem kanister, który podczas wczorajszej jazdy nabawił mnie całego morza siniaków. Potem wróciłem na dół.

Zguba nie poruszył się już więcej, jednak nie musiało to jeszcze niczego oznaczać. Nie miałem pojęcia, jak się eksterminuje demony, jednak miałem nadzieję, że to wystarczy.

Z tłukącym głośno sercem przeszukałem trupowi wszystkie kieszenie. Były tam klucze, dokumenty, pieniądze, dodatkowe naboje, paczka papierosów i to, czego szukałem – zapalniczka. Klasyczna Zippo.

Poplamione krwią ręce przezornie umyłem w śniegu. Potem polałem Zgubę od stóp do głów benzyną i podpaliłem. Z zimną krwią, bez chwili wahania.

Na dnie leśnego jaru zapłonęło ognisko.

Nigdy wcześniej nie czułem smrodu palącego się mięsa, podmuch idący od płonącego demona był nie do zniesienia. Nie odszedłem jednak, dopóki nie zgasł ostatni, najdrobniejszy płomyk, dopóki ciało nie zmieniło się w bezkształtny, czarny węgielek. Tak na wszelki wypadek, na rachunek wszystkich nadchodzących nocy mojego życia. Na rachunek spokojnego snu.

Po tym prostym, wikińskim pogrzebie spokojnie wróciłem do samochodu. Przy tylnym zderzaku schyliłem się i spojrzałem na tajemnicze nasionka. Leżały chwilę na zimnym śniegu, dobre dziesięć centymetrów nad zamrażającą ziemią, i już zaczynały kielkować. Pozbierałem je ostrożnie i zawiązałem w chusteczkę.

Wsiadłem do samochodu, jednak zorientowałem się, że wciąż jeszcze nie jestem zdolny do jazdy. Obróciłem się w siedzeniu, wystawiłem nogi na zewnątrz, na przyjemnie grzejące słońko i zapaliłem papierosa. Pierwszego od dziesięciu lat.

Smakował wybornie...

XI.

W Koszycach byłem około drugiej po południu. Fiata zostawiłem na parkingu przed Tesco, między setkami innych samochodów, kluczyki wyrzuciłem do kosza na śmieci i do domu dojechałem już autobusem.

Klucze z kieszeni Zguby otworzyły drzwi do mojego mieszkania. Nie zdejmowałem jeszcze butów, najpierw przejrzałem wszystkie pomieszczenia.

Najwyraźniej nic się tu od mojego wyjścia nie zmieniło. Wyczyszczona lodówka i stos petów w popielniczce były jedynymi oznakami pobytu demona. Wyczerpany zapadłem się w fotel i niewesołe myśli. Rzeczywiście wszystko się skończyło? Mam prawo wreszcie odpocząć?

Wątpliwe, odezwał się rozum. Z pewnością się jeszcze pojawia. Skarbek, wilkołak i diabeł. Już nie po manę, po prostu dla zemsty. Czy byłem na nich przygotowany?

Spojrzałem na pistolet leżący przede mną na stole. Załadowałem go ponownie zanim jeszcze dopalił się trup Zguby.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Tak szybko?

Westchnąłem, chwyciłem za szorstką kolbę i wstałem. Najpierw podszedłem do barku i nalałem sobie koniaku. Chwilę spoglądałem na kieliszek zastanawiając się, czy to już mój ostatni. Rozgrzewał w środku dokładnie tak samo, jak i wszystkie poprzednie.

Potem ostrożnie przeszedłem do przedpokoju. Starając się nie wydać żadnego dźwięku, przesunąłem się do drzwi i spojrzałem w wizjer.

Nikogo.

Odbezpieczyłem broń. *Klak*. Nie zabrzmiało to zbyt głośno?

Odczekałem chwilę, potem sięgnąłem do klamki i otworzyłem drzwi.

Pusty korytarz. I coś jak list, leżący na wycieracze.

Schyliłem się i podniosłem kopertę. Żadnego adresata, żadnego nadawcy.

Jeszcze raz spojrzałem w prawo, w lewo i wróciłem do środka. Ostrożnie otworzyłem kopertę. Na rękę wypadło mi drobne nasionko. Takie samo, jak te, które miałem już w kieszeni. Napięcie opuściło mnie od razu, odetchnąłem głęboko. Potem otworzyłem list.

Na nikogo, Bohatr, nie czekaj – przeczytałem. Żadne demony dziś nie wrócą. Ani jutro, ani za tydzień. Ciemnymi mocami i im podobnymi zajmę się teraz ja. Komponuj muzykę i myśl o mnie. Jeszcze się spotkamy.

Miła boginka.

Roześmiałem się. Uśmiech, który zabłysnął na mojej twarzy, był uśmiechem szczęśliwca, któremu wreszcie niepomiernie ulżyło. Osunąłem się na podłogę przy drzwiach i tak już zostałem, siedząc ze spuszczoną głową, aż zasnąłem. Miałem cudowny sen. Nie było w nim żadnych straszdeł, żadnych nadprzyrodzonych istot. Zwykli ludzie, z krwi i kości.

Bądź błogosławiona, dobra boginko.

Nie każdy ma tyle szczęścia, żeby w biedzie poznać przyjaciela. I obrońcę...

© Fahrenheit, 2005